

Przykazania dezertera

Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną

– Genek, no przeżegnajże się – zasłaniając usta dłonią, próbuję zachować powagę i pohamować śmiech. Lecz naraz parskam gwałtownym chichotem. Czarne oczy przyjaciela ciskają błyskawicami, kiedy chwytam jego rękę i nieporadnie próbuję wykonać jego ręką znak krzyża:

– No dalej Genek, odmów Zdrowaś Mario – rechoczę.

– A no Kurt, przestań się ze mnie śmiać. To, że młody za ścianą odbywa lekcję katechezy, nie uprawnia cię do tego, abyś robił ze mnie przechrzte. Brachu, jam jest mojżeszowy i ty dobrze o tym wiesz – i naraz Genek poważnieje, kiedy mówi:

– My tam możemy mieć różnych Bogów, Kurt, ale swój skrawek ziemi mamy wspólny. To nasz Ratibor. Nasz kochany Ratibor.

Dochodzi wieczór, katem oka spoglądam przez okno. Ulica Bahnhofstrasse pogrąża się w ciemności i tonie w mroku. Uliczki snujące się jak wątki, wśród domów o pastelowych barwach i wysokich fasadach szepczą o sekretach miasta. Pośród tafli nocy przedziera się purpura, naznaczona swastyką.

– Jedna marka za twe myśli – szepcze mi do ucha Genek. – Aha, pewnie żałujesz, że młodego trzeba pilnować, bo ty byś do Anny na Oberwallstrasse poszedł.

– Annę innemu obiecano - ucinam krótko. - A ja...tak sobie patrzę. W przyszłość. Dokąd zaprowadzi nas ta czerń i purpura?

Usta przyjaciela krzywią się w lekkim uśmiechu, kiedy wtrąca:

- Ratibor jest pojemny. Znajdzie się miejsce i dla nas Żydów, i Niemców, i Polaków.

Naraz Genek prostuje się, przykładając dwa palce pod nos i zaczyna śpiewać z sarkazmem:

- Ach ten wąsik, ach ten wąsik! To ja jestem wasz nowy Bóg. Nie miejcie żadnych bogów, przede mną! - śmieje się, porywając mnie do tańca. Potem obaj wybuchamy śmiechem, tak gwałtownie, że krztuszę się śliną i nie potrafię zaczerpnąć powietrza.

Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremno

– Przestań odmawiać już te zdrowaśki! Przecież w waszej religii uczą, abyś nie brał imienia Pana Boga swego nadaremno– czarne niczym noc oczy Genka wpatrują się we mnie, lustrując bacznie moją twarz.

Znów jest wieczór i znów za ścianą mój brat uczy się modlitw. W końcu niedługo ma przystąpić do pierwszej komunii świętej. Ale moje myśli nie są z nim. Bacznie przyglądam się Genkowi,

jakby móc wychwycić coś, co mogłoby świadczyć na jego korzyść. Co mogłoby przesądzać o tym, że nie będzie uznany za Żyda.

- Haczykowały nos i smutne oczy to moja tożsamość– stwierdza gorzko Genek, jakby odczytując moje myśli.

- Genek, ty chyba widzisz, co się dzieje w naszym mieście?! Przecież mamy listopad trzydziestego ósmego. Wczoraj wywieźli do obozu Kirchbaumów. Spalili waszą synagogę na Königstraße. Nawet sklepy Hofmana zostały zniszczone.

– I co? – Genek bezradnie wyciąga dłonie w moim kierunku. – Mam opuścić Ratibor? Kawalek skrawka ziemi, który od zawsze był moim domem?

– A czy jest jakieś inne wyjście? – zastygam w przerażeniu, lecz słowa Genka wcinają się niczym sztylet w mój monolog:

- Inne wyjście...Inne wyjście...? A czy TY masz inne wyjście?

- O czym ty mówisz, Genek? – moje źrenice rozszerzają się.

– No o tym, że jesteś Niemcem. Jak tylko wybuchnie wojna, wcielą cię do Wehrmachtu.

Nastaje cisza. Odwracam się plecami do przyjaciela. Przed sobą dostrzegam wielkie lustro. Spoglądam w nie uważnie. Młody mężczyzna o wielkich przestraszonych, błękitnych oczach wydaje mi się nieznanym.

Kręcę przecząco głową.

- Nie, to niemożliwe. Nic takiego się nie stanie – z całej siły przytulam przyjaciela. A zza ściany słyszę dziecinnie głosik:

- Kyrie Eleison, Chryste usłysz nas, Chryste wysłuchaj nas....

Pamiętaj, abyś Dzień Święty Święcił

Las pod Ratiborem pogrążony w bieli w swoim majestatycznym spokoju, niczym kryształowy pałac, mieni się drobinkami zimowego słońca. Zewsząd krzyczy cisza. To takie dziwne. Świat pogrążył się w chaosie. Kula ziemską nakryła się nazistowską purpurą. A teraz ja stoję w ciemnym lesie pośród białego śniegu. Przez chwilę delektuję się zimowym krajobrazem. Drzewa stoją w milczeniu, wystrojone w gałęzie, przygarbione pod ciężarem śniegu. Wyglądają jak senne straże, czuwające nad śpiącym krajobrazem.

– Stille Nacht! Heilige Nacht! Alles schläft; einsam wacht – naraz ciszę przerywa potok śpiewanej męskimi głosami kolędy. Czyjaś ciepła dłoń dotyka mojej lodowatej ręki.

– Kurt, co tak patrzysz tępo w dal? – Wilhelm, mój żołnierski druh klepie mnie po ramieniu– Pamiętaj, abyś Dzień Święty Święcił– śmieje się do mnie, ukazując białe zęby. I dodaje, po chwili:

- Dzisiaj wigilia, może zwierzęta wreszcie przemówią ludzkim głosem - próbuje żartować, lecz mnie wcale nie jest do śmiechu.

- Życzyłbym sobie, żeby to nie zwierzęta, a ludzie zaczęli wreszcie zachowywać się po ludzku – szepczę.

- Co ty mówisz, Kurt? Ta wojna to nasza wspólna sprawa. Nasz Führer obiecał nam przecież Wielkie Niemcy.

Zasepiam się przez chwilę. Jak można budować wielkie Niemcy, bez takich ludzi jak Genek? Moje myśli wędrują w kierunku przyjaciela... Czy on w ogóle jeszcze żyje? Co się z nim teraz dzieje? Jak to możliwe, że nasz Ratibor, nasze miasto, któremu podarowaliśmy młodość, wyklął go? Nasz piękny Ratibor, przed wojną niczym misterny warkocz spleciony z różnych kultur, odrzucił ludzi takich jak Genek! Wzdrygam się.

- Mam śpiewać kolędy, nosząc przy sobie karabin? –pytam Wilhelma.

Obaj nie znamy odpowiedzi na to pytanie.

Czcij ojca swego i matkę swoją

„*Droga matulu, drogi tatku...*” – czarny kałamarniczek skrzący po białej kartce, kiedy nieśmiało próbuję kreślić niezgrabne litery. Zewsząd panuje chłód, trzęsę się jak w febrze. Ustawiliśmy nasze namioty tuż u brzegu Odry. W sercu raciborskiego lasu jestem sam... Zupełnie sam pośród nagich sosen. Tylko gdzieniegdzie słyszę skrzypnięcie ciężkich, żołnierskich butów przemierzających śniegi.

„*Droga matulu...* – poprawiam rozmazane pismo. - *Smutno mi, tak mi źle. Tak bardzo bym pragnął, żeby twa dłoń gładziła me kędzierzawe włosy. Ale to teraz niemożliwe. Pamiętasz, jaki rad byłem z indeksu, który wręczono mi na uczelni medycznej? Pamiętasz, jak twe oczy wypełniały się łzami wzruszenia, gdy składałem przysięgę Hipokratesa? Genek również był ze mną. Mój przyjaciel. Część mojego życia... Matulu, obiecałem ci wtedy, że zostanę medykiem, a każde życie będzie stanowiło dla mnie sto procent. Teraz ubrano mnie ciężki mundur Wehrmachtu i zawieszono karabin na ramieniu. Nie, ja nie chcę tego... Ratibor to moja Mała Ojczyzna, ale jednocześnie i część Wielkiej Rzeszy. Ojciec mawia, że winny jestem oddać jej życie. Tak, ja mogę położyć swoje istnienie na jej ołtarzu. Ale mnie nakazano zabijać. A ja nie chcę tego, matulu! Za każdym razem, kiedy moja broń wystrzela, żal i sprzeciw rozszarpuje moje ciało na tysiące kawałków. Nie chcę! Nie potrafię! Ten karabin jest zbyt ciężki dla mnie... Tak bardzo mi smutno, matulu... Tak bardzo mi źle. Proszę, pomyśl o mnie. O nas. O straceńcach, o których chciałbym, żeby zapomniały przyszłe pokolenia.*

Tak bardzo mi smutno, tak bardzo mi źle... Matulu moja... przytul moje smutki...”

Nie zabijaj

Wsluchuję się w bicie mojego serca. Bije równo, rytmicznie niczym tykanie zegara. Wydaje mi się, że czas wyzwolił się z okowów jakiegokolwiek logiki. Wszędzie panuje zamęt. W obozie, ktoś krzyczy. Ale na mnie nie robi to już zbyt wiele wrażenia. Przywykłem do okrzyków i jęków.

- Wstawaj Kurt! - z otchłani moich myśli przywołuje mnie głos Wilhelma.

- Co się stało, stary?! - patrzę mu prosto w oczy.

- Ano złapali kogoś. Chyba jakiegoś Żyda - przez chwilę mój druh oddaje się zadumie. - Nie wiedziałem, że jakiś mojżeszowy mógł ostać się w Ratibor.

Nastaje cisza, ale naraz Wilhelm odzywa się znów:

- Dowódca nakazał nam się stawić u niego.

Podnoszę brwi w geście niemego zapytania. Wilhelm nie mówi nic, tylko chwyta mnie za ramię i naraz obaj znajdujemy się w kwaterze dowódcy. Na widok krępego jegomościa, ubranego w mundur Wehrmachtu, podnosimy ręce w geście faszystowskiego pozdrowienia.:

- Kurt Weber i Wilhelm Miller meldujemy się panu dowódcy! - wołamy zgodnym chórem.

Dowódca chodzi po namiocie i kiwa głową z aprobatą:

- Złapaliśmy ostatniego szczura. Plugawego Żyda! Że też takie robactwo jeszcze zdołało przeżyć. Ale cóż... chowają się w raciborskich piwnicach. Ale nasze chłopaki go znalazły. A teraz wy... - przyłożył palec do mojego munduru, zatapiając go w moim ciele. - Mam dla was zadanie. Pójdziecie do namiotu, gdzie go trzymają. I rozstrzelacie go. Jak psa!

- Mamy go rozstrzelać? - powtarzam tępo, a moja warga drży.

- Tak jest! - Wilhelm puszcza moją uwagę mimo uszu i salutuje, po czym wyprowadza mnie z namiotu. Wydaje mi się, że stałem się szmacianą lalką, bo nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Zасыwam się w jakimś koszmarnym śnie. To nie może dziać się naprawdę. A jednak najgorsze ma dopiero nadejść. Wilhelm szarpie mnie za sobą, kiedy docieramy do namiotu jeńca. Jest ciemno, katamaran zmierzchu zacumował nad miastem. Lecz pośród ciemności dostrzegam parę czarnych, zatrwożonych oczu. Oczu, które są mi tak bardzo drogie...

- Genek! - wyrwa mi się z piersi. - Genek! - krzyczą moje usta, lecz on daje niepozorny znak ręką, abym się nie odzywał. Nawet teraz chce mnie chronić. Wie, że znajomość z Żydem może przynieść mi zgubę.

- Wstawaj Żydzie! - krzyczy Wilhelm. - Żegnaj się z życiem!

Naraz Wilhelm ładuje karabin i wcelowuje go prosto w serce Genka.

- Przestań! - naraz jakby odzyskuję mowę. - To nie żaden Żyd. To nasz. Chrześcijanin. Nie zabijaj!

Mówię teraz szybko i nieskładnie:

- No Genek, mówże modlitwę. Przeżegnaj się! Słyszysz?!

Podchodzę do niego i potrząsam nim gwałtownie - Mówże tę cholerną modlitwę! No mów! Przecież znasz je doskonale. Za każdym razem, kiedy przychodziłeś do mnie na Oberwallstrasse, mały miał przecież lekcje katechezy. Mówże Zdrowaś Maryjo! – wrzeszczę na cały głos, lecz mój krzyk stapia się z hukami karabinu. Przez chwilę wyję rozpaczliwie. Lecz naraz milknę. Milczy cały świat.

Nie cudzołóż

– Muszę odejść, Anno. Nie możesz tak dla mnie ryzykować – spoglądam z miłością na krzątającą się po małym mieszkanku kobietę.

Przez okno dostrzegam, jak drzewa przykrywające kamienice rzucają ukośne cienie, jakby stawały się współnikami naszej tajemnicy.

–Jestem dezertorem, Anno. Rozumiesz? DEZERTEREM!!! Uciekłem z pola walki. Uciekłem, kiedy karabin rozwalil mojego przyjaciela Genka. Nie możesz dłużej mi pomagać.

Milknę, a potem dodaję cicho:

– A poza tym... jesteś mężatką. Twój mąż walczy na froncie wschodnim.

Anna podbiega do mnie i wtula się we mnie całym ciałem:

– Przecież wiesz, Kurt, że to małżeństwo było zaaranżowane przez moich rodziców. A moje serce zawsze należało do ciebie. Niechże tylko skończy się ta przeklęta wojna...- naraz jej głos się załamuje, a ja obejmuję ją ciasno ramieniem:

– Nie płacz, moja droga. Próżno płakać. Wszystko próżno.

– Kim my się staliśmy? Kim się staliśmy, Kurt? – mamrocze Anna, a ja gładzę jej płowe włosy. Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Patrę w jej śliczną twarz. Nie, nie mogę jej dłużej narażać. Kiedy tylko Anna pogrąży się we śnie, otwieram drzwi i wychodzę na pustą Oberwallstrasse. Nie wiem, dokąd poniosą mnie nogi.

Nie kradnij

Błąkam się nocą ulicami pustego Ratibora. Stałem się troglodytą, szczurem, który poznał każdą kostkę raciborskich piwnic. Trzęsę się z zimna, ale to nie chłód powoduje, że nie mam już siły na dalszą ucieczkę. To przeszywający głód trawi mnie od kilku dni. Kim się stałem? Przecież to samo pytanie zadała mi Anna. Teraz zadaję je sobie sam, kiedy rozbijam szybę piekarni i niczym dzikie zwierzę pożeram skradzione bułki. Jestem złodziejem? Dezertorem? Właściwie mogę być każdym, byle tylko nie mordercą. Tego bym nie zniósł. Moim myślom wtóruje cisza. Zaszycam się w mroku ciemnej nocy.

Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu

Nie dosięgam jutra. Zostało gdzieś tam, gdzie zaszło dzisiaj i skończyło się słońce. Gdzieś bardzo daleko. Już dawno zgasilem lampę pełną planów na jutro. Jutrzejsze wczoraj lunęło deszczem. Patrzę szeroko otwartymi oczyma, rozrzucam spojrzenia i chwiejnym krok za krokiem oswajam moją prawdę. Jestem nadzwyczaj spokojny. Pustym wzrokiem ogarniam otaczającą mnie rzeczywistość, stęchłe ściany Untersuchungsanstalt Ratibor, więzienia, w którym mnie umieszczono. Smród stęchlizny wdiera się w moje nozdrza. Cella jest malutka, właściwie to zwijam swoje ciało w kłębek, żeby zostało jeszcze trochę przestrzeni na moje myśli. Ale ja czuję się wolny... Wolny w swoich decyzjach. Porzuciłem karabin. I odmówiłem walki na polu bitwy. Taka była moja decyzja.

- Karl Weber! - grzmi surowy głos strażnika. - Wstawaj! Pojawiła się dla ciebie kolejna szansa. Jeszcze możesz zmienić swoją decyzję.

Potrząsam gwałtownie przecząco głową. Ja już zdecydowałem. Nie wrócę tam, gdzie leje się krew. Nie będę jednym z morderców, którzy pozbawili życia mojego Genka.

Palce strażnika boleśnie wbijają się w moje ramię, kiedy siłą wyprowadza mnie z celi:

- Masz gościa, Weber. Może przemówi ci wreszcie do rozumu!

- Wilhelm?!- wykrzykuję na widok mojego żołnierskiego kompana. Ten podnosi się z krzesła i obejmuje mnie. Początkowo poddaję się jego uciskowi, jednak naraz odpycham go i gwałtownie odskakuję.

- Nadal nie możesz przeboleć, że zabiłem tego Żyda? – patrzy na mnie z ukosa.

- Żyda? Przecież to był jeden z nas! Mieszkaniec naszego Ratibora!

- To przez niego pomieszało ci się w głowie – mówi smutno Wilhelm i naraz dodaje:

- Ale to jeszcze da się odwrócić. Przyjechałem tu zeznać, że byłeś doskonałym żołnierzem w pełni oddanym Trzeciej Rzeszy. Moje zeznania mogą dużo zmienić.

Błękitne oczy Wilhelma wpatrują się we mnie uważnie:

- Stary, zmień swoją decyzję. Ja ci pomogę... Pomogę!

- Pomogę? Ale, w czym? Mam wrócić na pole walki i znowu z zimną krwią zabijać niewinnych ludzi? Ja już zdecydowałem.

Odwracam się na pięcie. I wolnym krokiem odchodzę do mojej celi, która dała mi wolność.

Nie pożądaj żony bliźniego swego

Sztylety słońca wrzynają się w kraty małego okienka celi. Jestem nadzwyczaj spokojny. Od momentu rozpętania tego wojennego szaleństwa, nie myślę o swojej przyszłości. Moja decyzja

o porzuceniu karabinu daje mi poczucie ukojenia. W moje myśli wcina się chrzęst otwieranego klucza. Niebawem pośród ciemności dostrzegam rosnącą sylwetkę strażnika:

– Ty to masz szczęście, Karl. Już prawie Bóg wzywa się do ciebie, kiedy znowu masz odwiedzin?

- Nie chce już widzieć Wilhelma – wzbraniam się. - On nie odwiedzie mnie od mojej decyzji.

- Ale kto tu mówi o tym Millerze. Masz wyjątkowego gościa. To piękna dama.

– Dama? – zastanawiam się przez chwilę i niebawem z mojej piersi wydobywa się szloch:

– Anna?!

Tak, to jej błękitne oczy wpatrują się po chwili we mnie, jakby błagając, abym coś powiedział. Ale ja milczę. Za to jej piersi wydobywa się jęk:

- Karl, przecież możemy zmienić jeszcze ten los. Wrócisz na front. Ale nie musisz zabijać—kiwa gwałtownie głową. – Oświadczysz, że chcesz zostać sanitariuszem. Nie będziesz zabijał. Przeciwnie, możesz ratować ludzi.

Początkowo wpatruję się w nią uważnie. Moje serce wyrywa się do niej. Ale przecież ona jest żoną innego człowieka.

– Wybacz mi, Anno. Niech świat zapomni o nas, straceńcach.

Ani żadnej rzeczy, która jego jest

Nie pożądam niczego prócz wolności i pokoju. Przed oczyma przesuwają się kadry z mojego życia. Srebrzysty śmiech matuli, nasze mieszkanie na Banhoffstrasse, zakazana miłość do Anny, śmierć Genka, ucieczka z pola walki. Kim w tym wszystkim jestem ja? Czy moja decyzja jest poświęceniem? A może szaleństwem? Czy sprawi, że niebo stanie się piekłem, czy też może piekło niebem? Moje drżące usta zaczynają wymawiać słowa modlitwy. Jestem tylko jednym młodym człowiekiem, który odmówił walki. Miliony młodych Niemców poszło walczyć. Ile osób ocali moja decyzja? Przez chwilę widzę zapłakane oczy matuli i Anny, lecz szybko przeganiam natrętne myśli. Mój karabin nie wystrzelił żadnej kuli. Z moich rąk nie zginie człowiek.

– To twoja ostatnia godzina, Karlu Weber - z letargu myśli wyrywają mnie słowa strażnika, który śmieje mi się prosto w twarz. – A może jeszcze zmienisz zdanie? – to pytanie brzmi bardziej już retorycznie. – Aha, i nie licz na to, że nazwą cię bohaterem. W papierach napiszemy, że jesteś tchórzem – teraz do strażnika dołącza drugi mężczyzna i razem śmieją się niczym z zabawnego dowcipu.

Ja jednak wznoszę oczy ku górze. Ufam głęboko, że moja decyzja jest tylko kroplą, która będzie drążyć skałę. Odwracam głowę. Stado ptaków podniosło się do lotu. Są wolni, wolni jak ja,

kiedy po chwili kula rozrywa moje ciało na strzępy, lecz dusza ulatuje daleko w niebo. Taka była moja historia. Historia raciborskiego dezertera, który żył według swoich przykazań.

Maria Kocot